WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 6. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 9 Lutego 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.
Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.
W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.
W Krakowie u W-go D E. Friedleina—Rynek 17.
We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchstaba — ul. Karola Ludwika 21.

Nowi prenumeratorzy mogą otrzymać początki powieści (23 numery) Izy Bronikowskiej „Sâdhâna" i Leonji Grabskiej „Spętani" za dopłatą 5 marek (50 fen. za przesyłkę).

Prosimy uprzejmie tak miejscowych, jak i zamiejscowych Szan. Czytelników o zwracanie się wprost do Administracyi Bluszczu.

STEFANJA BOJARSKA.

Nauczyciel ludowy jako społecznik.

(DOKOŃCZENIE).

I znów przy budowie tego wspólnego domu, mającego służyć ludowi na drodze dalszego jego rozwoju, nauczyciel skupi wszystkie istniejące instytucye. Każdą z nich pobudzi do zarabiania i gromadzenia funduszów na koszt budowy tego wspólnego pomieszczenia, oraz podda myśl wykonania pewnych prac przy wznoszonej budowie.

Wogóle, gdy dojdzie on do tego punktu w swej pracy, że gromada wiejska będzie chciała już posiadać Dom Ludowy, potrafi on wyzyskać ten pomysł w celach wychowania społeczno-obywatelskiego i wytworzy około tego przedsięwzięcia gorący prąd życzliwości i przychylnej troski, co w rezultacie ludzi jeszcze bardziej zbliży i zwiąże z sobą mocnemi węzłami braterskiej solidarności.

Rzecz prosta, że nauczyciel, któryby tak pojmował swoje obowiązki społeczne, obywatelskie, z czasem stałby się niezbędny dla wiejskiej gromady. Zaufanie bezwzględne i żywe a serdeczne przywiązanie wieśniaków byłoby dlań sowitą nagrodą i zapłatą za pracę i trudy podjęte.

Przy pracy tak intensywnej, on sam nabierać będzie doświadczenia, a wiedza jego pomnażać się będzie w różnych dziedzinach. I nie będzie mogło być inaczej, bo w miarę jak wiejska gromada, której on będzie przewodniczył na razie, podnosić się zacznie coraz wyżej, nauczyciel z natury rzeczy będzie zmuszony dla zadośćuczynienia rozszerzonym i pogłębionym potrzebom tej gromady uczyć się coraz to nowych rzeczy z dziedziny prawa, socyologii, handlu, ekonomii, rolnictwa i t. p.

Ale nauczyciel, który już z seminaryum wyniesie pewne ogólne przygotowanie do pracy społecznej, nie będzie się dziwił, że kierowani przez niego wieśniacy, zdobywający w szybkiem tempie przy pracy w różnych stowarzyszeniach coraz więcej wiedzy i jemu będą stawiali coraz większe wymagania i od niego coraz więcej nowych wiadomości zdobywać zapragną. Na taki objaw będzie on z góry przygotowany i będzie się starał wywiązać z tych zapotrzebowań, zdobywając stale różne wiadomości na drodze samouctwa, kursów wakacyjnych, wycieczek do placówek ożywionej pracy społecznej, oraz przez utrzymywanie stosunków z różnymi ludźmi, przedstawiającymi fachowców uzdolnionych, do których w razie potrzeby po pomoc, radę i wskazówkę będzie się on udawał z całą śmiałością. A tacy ludzie znajomość z uspołecznionym nauczycielem ludowym będą uważali sobie za rzecz niezmiernie cenną, za łącznik żywy i wrażliwy między inteligencyą miejską a wiejską i nieraz myśl twórcza i śmiała, zrodzona w mózgu działacza społecznego, stale w stolicy przebywającego, zapłodni najpierw umysł nauczyciela ludowego, aby z kolei wsiąknąć w mózg zbiorowy wiejskiej gromady po to, by z czasem w kształt czynu się zmienić.

I tak żyjąc dla swego najbliższego otoczenia, wiejski nauczyciel wysiłkiem wytrwałym każdego dnia, będzie dokonywał na drodze spokojnej, ewolucyjnej wielkich przemian w swojem zaniedbanem do niedawna środowisku.

Pod jego błogosławionym wpływem ludzie na pół dzicy, brutalni, występni, zimni egoiści i zdecydowani wrogowie wszelakich przemian, zwolna, stopniowo, zmieniać się poczną na obraz i podobieństwo Boże, aż w końcu staną się oni ludźmi, wśród których miło będzie żyć i pracować dla dobra ogólnego.

A nie tylko oni sami pod wpływem uspołecznionego nauczyciela zmienią się nie do poznania, w tym samym stopniu zmienią swój wygląd ich domy mieszkalne, budynki inwentarskie, podwórza, ogrody, pasieki, pola, drogi, pastwiska, jednem słowem, zmieniony de gruntu człowiek, zmieniać będzie na swój obraz i podobieństwo cały swój warsztat pracy. Ale to nie wszystko, ten sam człowiek o zbudzonej szlachetnej ambicyi, mający w duszy piękny ideał, poniesie swoją pracę nowym duchem solidarności przepojoną i do stowarzyszeń wiejskich i one ulegać poczną odnowie.

Z czasem wieśniak, zorganizowawszy swoje gospodarstwo i gospodarkę groma-

dzką we wsi, sięgnie do gospodarki gminnej, powiatowej i ogólnokrajowej.

Wtedy nauczycielowi ludowemu przybędzie nowy zakres pracy, bo będzie on musiał wyjaśniać i i tłómaczyć ludowi nowe, a nieraz dość zawiłe zagadnienia z dziedziny gospodarki ogólnokrajowej, polityki wewnętrznej i zagranicznej.

Ale i temu da on radę. Siły człowieka rosną w miarę ćwiczenia ich, a i ze sprawnością mózgu w dziedzinie popularyzacyi wiedzy ma się podobnie. Z czasem samego nauczyciela-społecznika przeniknie niegasnący nigdy ogień zapału do zdobywania potrzebnej dla jego wychowańców wiedzy, tak, że żadne przedsięwzięcie w tym zakresie nie będzie dlań za śmiałe.

Naturalnie, że takie wytrwałe samouctwo będzie wynagrodzone sowitym plonem, a tak żyjąc w twórczej a nieustannej pracy polski nauczyciel ludowy zbuduje sobie jeszcze za życia z własnych czynów, ofiarnie dla wiejskiej gromady spełnianych, trwały pomnik w sercach wdzięcznego ludu, a pamięć o jego obywatelskiej działalności przetrwa całe pokolenia, przekazywana przez ojców dzieciom... Że nie jest to idealnem życzeniem tylko, wiedzą o tem dobrze ci wszyscy, którzy znają działalność społeczno-kulturalną i oświatowo-ekonomiczną nauczycielstwa ludowego u nas.

W Galicyi, która dzięki większym swobodom politycznym miała też znacznie większą swobodę w pracy podejmowanej na terenie wiejskich stowarzyszeń, nauczycielstwo ludowe nie ma powodu całej tej dziedziny pracy na wsi podejmować.

Niemniej, uspołecznione jednostki z pośród tego stanu pracują tam bardzo wydajnie dla polepszenia bytu ekonomicznego włościan galicyjskich, borykających się tak często z nędzą. Na czele tych, co tą stroną życia wiejskiego się zajmują, kroczy p. Ślusarczyk, nauczyciel z podkrakowskiej wsi Witowice, który tak energicznie prowadzi akcyę sadowniczą wśród włościaństwa w swej okolicy, że własnoręcznie przeszczepił *15,000* drzewek owocowych w chłopskich sadach i pouczył właścicieli tych sadów, jakie staranie winien właściciel dawać posiadanym drzewkom owocowym. Pan Ślusarczyk starszych uczniów kształci na zamiłowanych w sadownictwie ludzi i na takie wyprawy, mające na celu porządkowanie sadów włościańskich, bierze zwykle gromadkę starszych uczniów jako pomocników.

Niemniejszy szacunek budzić może nauczyciel ze wsi Krzesławia w Sobczyckim powiecie, który jako syn zamożnego gospodarza z tej wsi poszedł do seminarjum nauczycielskiego, a poszedł tam dla tego, aby potem we wsi rodzinnej zwalczać ciemnotę i inne zło.

Wróciwszy z seminaryum przekonał gromadę o potrzebie uchwały gminnej, znoszącej w tej wsi karczmę i budynek, będący miejscem zgorszenia, pod jego kierunkiem przebudowany został na szkołę, w której ten dzielny pracownik uczy dziatwę swych sąsiadów. Ten nauczyciel jest wychowawcą całej gromady, pracuje gorliwie w stowarzyszeniach, jakie z jego inicyatywy na wsi tej powstały.

A teraz rzućmy okiem na działalność nauczycielki ludowej z małego, biednego, lichwą i wszelaką nędzą materyalną i moralną nękanego miasteczka galicyjskiego. (Mowa o Olesku w pow. Złoczowskim).

Przed kilkunastu laty przybywa tam dzielna kobieta i zdjęta głęboką litością nad upośledzeniem tych ludzi, krewnych i rodziców powierzonych jej opiece dzieci, zaczyna ich budzić z letargicznej drzemki. Oświeca ich, organizuje w stowarzyszenia oświatowe i kulturalne, wytwarza im nowe źródła pracy zarobkowej (dla mężczyzn warsztaty koszykarskie, dla kobiet guzikarstwo), a z czasem podnosi ich na taki poziom uspołecznienia, że opodatkowują się oni rocznie, zależnie od wielkości zarobkowych pieniędzy, na pewien procent; przeznaczają to na rzecz instytucyi oświatowej, bo na rzecz Towarzystwa Szkoły Ludowej.

Nauczycielka przyczyniła się do tego, że w tej lichej, śpiącej do niedawna mieścinie, powstał okazały „Dom Ludowy", który zogniskował w swych murach całe życie umysłowe, kulturalne i ekonomiczne miejscowej ludności.

Wszystkie przytoczone przezemnie przykłady wzięte są z życia nauczycielstwa ludowego w Galicyi, ale i my w Królestwie mamy i to w dużej ilości wartościowe typy uspołecznionych i po obywatelsku czujących nauczycieli ludowych.

Budzi ono oświatowy i kulturalny ruch po wsiach, organizuje ekonomicznie lud, uświadamia go o jego obowiązkach narodowych, obywatelskich. A czynił to wszystko nasz nauczyciel ludowy w Królestwie w warunkach znacznie trudniejszych niż te, w jakich pracę podobną prowadzi dzisiaj jego kolega w Galicyi. To też obserwując pracę społeczną naszego ludowego nauczycielstwa, krzepimy się nadzieją, że ono podejmie wielką pracę odrodzeniową na wsi polskiej, a wykona ją tem lepiej, im więcej pomocy całe społeczeństwo okaże nauczycielowi tak pojmującemu swe zadanie.

Z pomocą w tym razie powinny mu przyjść najlepsze siły pedagogiczne, pisząc jak najlepsze dla użytku szkół ludowych podręczniki, powinni mu pomoc okazać społeczni działacze najwybitniejsi, dzieląc się z nim własnem doświadczeniem, zdobytem nauką i pracą.

Z pomocą w tej wielkiej a świętej działalności tym rozsianym przy szkołach ludowych po wsiach naszych działaczom, pospieszyć powinni wszyscy przedstawiciele inteligencyi prowincyonalnej, a z tych wszystkich harmonijnie złączonych wysiłków narodzi się rzecz wielka i piękna, bo lud polski uspołeczniony, po obywatelsku czujący i działający, — budowniczy Polski wolnej i silnej, która *będzie*.

M. RULIKOWSKI.

Dawne gmachy i sale teatralne w Warszawie.

Historya gmachów teatralnych w Polsce pod wielu względami jest taka, jaką do dziś jeszcze jest historya teatru w naszym kraju, której tamta jest, oczywista, cząstką i z którą pozostaje w najściślejszym związku: urywkowa, niepowiązana w jednolitą całość, często z konieczności hypotetyczna. Brak jej silnego fundamentu w postaci źródeł archiwalnych, brak po większej części świadectw niezbitych, pełno natomiast luk, znaków zapytania i niespodziewanych faktów. Jak niemal wszystko, co z zakresu dziejów teatru u nas było ogłaszane, posiada piętno przypadkowości i w większym jeszcze stopniu grzeszy brakiem krytycyzmu; tak samo i specyalne przyczynki, poświęcone opisowi gmachów teatralnych — bardzo zresztą nieliczne — z małymi wyjątkami zadowolić nas nie mogą. Dotyczy to jednakże kilku budowli, które powstały już w wieku XIX; o wcześniejszych bowiem zaledwie parę znajdziemy w druku notatek.

Ograniczając się, naturalnie, do opisu gmachów i sal teatralnych w Warszawie stałych, t. j. takich, które specyalnie w tym celu były wznoszone lub urządzane i czas dłuższy trwały, a pomijając sale przygodne, chwilowe, jak np. po różnych kolegiach klasztornych, lub teatry, na krótki tylko okres z drzewa budowane (o których zresztą żadnych bliższych szczegółów nie moglibyśmy powiedzieć), musimy zacząć od wspomnienia o teatrze dworskim Władysława IV-go, mieszczącym się w Zamku warszawskim. Że nie był to pierwszy teatr w rezydencyi królewskiej, wiemy dobrze, pamiętając, że widowiska sceniczne na dworze poprzedników Władysława bynajmniej nie były rzadkością: gościły tu wszak różne trupy zagraniczne, między innymi sławna kompania angielska pod wodzą Johna Greena. Pierwsza to jednak z kolei czasu sala teatralna ów teatr władysławowski na Zamku warszawskim, o której nieco posiadamy wiadomości. Jakie zaś wrażenie musiała wywierać na współczesnych Polakach, sądzić możemy z tego, że muzyk nadworny i architekt króla Władysława, Adam Jarzębski, podając w swym rymowanym „Gościńcu obo opisaniu Warszawy" stosunkowo krótki w porównaniu do opisu innych gmachów wizerunek zamku królewskiego—bez mała połowę miejsca poświęca sali teatralnej, mówiąc o niej jednakże z większym zachwytem, aniżeli dokładnością. Oto jak w swych naiwnych rymach teatr opisuje:

Nuż sala, gdzie komedye
Odprawują, tragedye;
Jeśliś widział, przyznasz mi to,
Postawiona znamienito.
Tam wesela odprawują,
Włoskie skoki wyprawują;
Dla tych theatrum cudowne
Z perspektywami, budowne
Stoi, zacne, z kolumnami,
Nie widziane między nami.

Następnie zachwyca się Jarzębski skomplikowaną maszyneryą sceny:

Jedne kunszty nadół schodzą,
Wagami do góry wchodzą;
Drugie szruby obracają
W mgnieniu oka zaś zwracają;
Czynią z chmurami ciemności,
Potym światłość przyjemności;
A pod wierzchem niebo własne,
Z obłokami, zda się jasne,
Słońce, miesiąc i z gwiazdami,
Niebieskimi planetami.
Tam ujrzysz piekło straszliwe
I morze zdać się burzliwe,
Na którym podczas pływają
Syreny morskie, śpiewają;
A na batach jeżdżą po niem;
W takim morzu nie utoniem.
Jedni się z nieba spuszczają,
Drugich z ziemie wypuszczają.

Opowiedziawszy w dalszym ciągu jak na teatrze tym

Odprawują komedyą
Śpiewaniem a melodyą
Sztuczną, jakby rozmawiali
Sobie i zaś przymawiali —

jak inni

W klawicymbał pięknie grają —

a gdy wystąpią tańczyć, to

Nogi im po włosku drgają —

— Kończy autor „Gościńca“ czterowierszowym zaledwie opisem sali, mówiąc, iż

Dwoiste ma okna w sobie,
W jednym staną dwie osobie;
Wzdłuż jej dość, ma szerokości;
Dostatek w niej bywa gości.

Z opisu tego, oczywista, bardzo tylko ogólnikowe możemy powziąć wyobrażenie o teatrze Władysława IV-go. Opierając się natomiast na niewyzyskanych przedtem źródłach obcych oraz na materyale archiwalnym dał nam prof. St. Windakiewicz w pracy, teatrowi temu poświęconej, nietylko wyczerpujący przegląd repertuaru i sporo szczegółów o osobistym składzie trupy operowej, stale przez króla utrzymywanej, ale i możliwie dokładny opis sali dla widzów i sceny.

Według Windakiewicza teatr na Zamku warszawskim urządzono w r. 1637. Mieścił się on na 1-em piętrze i zawierał loże dla dam w kształcie okien, obszerny parter stojący dla panów, wreszcie miejsca honorowe dla króla, członków jego rodziny i posłów zagranicznych, umieszczone na parterze i odgrodzone baryerą od tłoczącej się publiczności. Miejsc tych, o ile ze znanych źródeł mógł Windakiewicz wywnioskować, było pięć. W środku siadał król, po bokach ktoś z rodziny królewskiej albo który z przyjezdnych książąt; o czwarte, a właściwie drugie miejsce z prawej strony kłócili się ustawicznie to nuncyusz, to poseł moskiewski, bojąc się, żeby przez zajęcie piątego, t. j. ostatniego z lewej strony nie uchybili godności osób, które reprezentowali. Ślady tych skrupułów etykietalnych często trafiają się w korespondencyi dyplomatycznej. Pięć owych foteli, o których dopiero co mówiliśmy, ustawiano na wspólnym dywanie, było przeto oznaką wielkiego taktu, jeżeli ktoś fotel swój trochę cofnął tak, żeby król niejako na samem czele publiczności teatralnej mógł usiąść. Porządku w sali teatralnej pilnował marszałek dworski, a prawdopodobnie zaciągano także straż przed królem. Mimo to niezawsze zdołano porządek zachować, na parterze bowiem tłoczyła się publiczność dosyć natrętnie, jedni popychali drugich, co wywoływało sprzeczki, zakłócające ciszę podczas przedstawień. Wiadomość o jednem takiem zajściu, w którem brali udział starosta mozyrski Chodkiewicz i pisarz koronny Wołłowicz, zachowały nam pamiętniki Albrechta Radziwiłła.

Wracając do opisu teatru, przytoczyć możemy za Windakiewiczem, że scena była nieznacznie tylko podniesiona. Niekiedy, mianowicie gdy balet miał się odbyć na sali, dostawiano z obu stron sceny małe schodki, ażeby tancerki parami mogły zejść i odrazu ustawić się na sali. Orkiestra mieściła się albo za sceną (chóry niektóre z pewnością), albo, i to najczęściej, na balkonie tuż przy scenie, co, zdaniem Windakiewicza, wskazywałoby, iż sala teatralna była przerobiona ze zwyczajnej w Polsce sali do tańców. Scena była oddzielona od publiczności dwiema kurtynami; jedną, pomarańczowego koloru, podnoszono i spuszczano tylko przed i po przedstawieniu; druga była biała płócienna; spuszczano ją po skończeniu każdego aktu lub przed zmianą dekoracyi.

Co się tyczy urządzenia sceny, to musiała być ona głęboka, ażeby mogła pomieścić większe perspektywy, w których oko ówczesne lubowało się. Musiała też mieć wysoką attykę od sali dla widzów, żeby objąć te skomplikowane maszynerye, które do spuszczania i podnoszenia rozmaitych bogów, zwłaszcza w intermedyach, były potrzebne. Dekoracye ustawiano pod kątem do widza, w głębi zaś pośrodku stawiano świątynię, róg ulic lub jakąkolwiek architekturę, zawsze w ten sposób, aby jak najgłębszą osiągnąć perspektywę. Raz wystawiono pałac z sześciu pokojami w szeregu; innym razem—obszerną panoramę Rzymu, złożoną z pałaców, świątyń, amfiteatrów i piramid. Często też przesuwano przez scenę okręty i wozy, które ciągnęły zwierzęta, automatycznie poruszające się. Mistrzem tych kunsztów był architekt królewski Agostino Locci. Przedstawienia odbywały się zazwyczaj po południu, zasłaniano przeto wszystkie lunety nad galeryami, salę zaś oświetlano licznymi kinkietami.

Tak się przedstawiają nasze wiadomości o teatrze dworskim Władysława IV-go. Czy wszystkie te urządzenia przetrwały i po jego śmierci, o tem nie mamy żadnych informacyi, wiadomo jednakże, że widowiska teatralne na dworze następców Władysława znacznie mniejszem cieszyły się powodzeniem, a w każdym razie ani Jan Kazimierz ani żaden z późniejszych królów nie utrzymywał stałej trupy.

Nowe życie teatralne zaczęło się na dworze warszawskim dopiero z chwilą ustalenia się na polskim tronie Augusta Mocnego, który, jak i syn jego August III, w większym tylko jeszcze stopniu, był, jak wiadomo, miłośnikiem widowisk scenicznych, zwłaszcza opery. Za panowania też jego powstały w Warszawie dwa teatry, z tych jeden pod otwartem niebem. Prof. Cornelius Gurlitt w pracy swej p. t. „Bauten des Barockstiles in Warschau“ zaznacza, że architekt króla Joachim Daniel Jauch już w r. 1713 wzniósł w ogrodzie Pałacu Saskiego amfiteatr, który jednakże wkrótce przestał istnieć. Co do przytoczonej daty—możnaby mieć pewne wątpliwości, wiadomo bowiem, że August dopiero w tymże właśnie 1713-ym roku nabył od Morsztynów ich posesyę oraz inne sąsiednie, na których powstały ogród i Pałac Saski. Istnienie atoli na obszarze ogrodu teatru plein-air'owego jest pewne, zarysy jego bowiem znajdujemy na wszystkich planach z w. XVIII-go, z tą jednakże różnicą, że na najdawniejszym, odręcznym planie Saskiego ogrodu, przechowywanym w drezdeńskiem Archiwum państwowem, na którym pałac posiada zupełnie inną, niż miał w rzeczywistości, figurę (zaczerpniętą więc jeszcze prawdopodobnie z niewykonanego projektu)—amfiteatr zaznaczony jest w tem mniej-więcej miejscu, gdzie obecnie rozciąga się sadzawka, na takimże zaś późniejszym planie oraz na innych planach sztychowanych—w innem, a mianowicie tam, gdzie dziś znajduje się ogródek im. Raua. Być może, że, o ile podana przez Gurlitta data nie jest błędna, istotnie początkowo wznosił się amfiteatr bliżej przyszłego pałacu, następnie zaś wybudowano inny, w kierunku dzisiejszej ulicy Żabiej.

(D. c. n.).

Nasza emigracya sezonowa po wojnie.

I.

O wychodźtwie polskiem istnieje już dziś rozległa literatura publicystyczna i naukowa nietylko w języku polskim, lecz również w językach obcych, szczególnie zaś w języku niemieckim. W miarę, jak nasz ruch wychodźczy coraz większe przybierał rozmiary i z czasem powstała potrzeba ograniczenia tego masowego odpływu naszego robotnika, na sprawę naszej emigracyi zwrócono baczną uwagę również i w prasie krajowej i zagranicznej, poczęto zastanawiać się nad sposobami jej rozwiązania na różnych zjazdach i konferencyach towarzystw oraz instytucyi społecznych i naukowych, uznano za potrzebne bliższe zbadanie jej za pomocą specyalnych ankiet i w niektórych wreszcie krajach poczęto przywiązywać do niej wybitne znaczenie polityczne. Niebezpieczeństwo, jakie wskutek tego tłumnego przenoszenia się do krajów cudzoziemskich zawisło nad naszą przyszłością gospodarczą, najtrafniej ocenił prof. Milewski, podkreślając, iż pracą rąk naszych dźwigamy coraz potężniejszy stan i byt obcego przemysłu i przyczyniamy się do tego, iż kiedyś zaciąży on na naszej ekonomicznie

odradzającej się pracy i zgniecie jej ogniska. „Dlatego — zauważa jeszcze — z naciskiem podnoszę sezonową emigracyę jako ujemny punkt w bilansie sił naszych“.

W chwili, kiedy coraz bliżsi jesteśmy możliwości regulowania wszelkich spraw społecznych na drodze ingerencyi własnych czynników państwowych, kwestya emigracyi sezonowej winna wysunąć się niemal na plan pierwszy i zainteresować jaknajszersze sfery naszego społeczeństwa. Wobec ogromu pracy, jaki nas czeka po wojnie i olbrzymiego zapotrzebowania sił roboczych w niedalekiej już przyszłości, sprawa ta już dziś stać się musi wyjątkowo aktualną i znaleźć się na forum roztrząsań publicznych.

II.

Masowy ruch emigracyjny z ziem polskich w ścisłym pozostaje związku z epoką rozkwitu życia gospodarczego w Niemczech. Niesłychany rozwój przemysłu niemieckiego po r. 1871 sprawił, iż w celu pokrycia zapotrzebowania sił roboczych trzeba było zwrócić się po robotnika na wieś, pozbawiając w ten sposób rolnictwo niezbędnych rąk do pracy. W tym samym czasie udoskonalenie techniki rolniczej i zastosowanie intensywnych systemów gospodarowania wywołują potrzebę zastąpienia braku sił miejscowych obcym materyałem roboczym.

Najbardziej podatny grunt dla werbowania robotników rolnych znaleziono w Królestwie i Galicyi. Emigracya z Królestwa do Niemiec rozpoczęła się mniej więcej w latach 80-ych i wkrótce wzrosła do takich rozmiarów, iż w roku 1866 *), w obawie przed zbyt wielkim napływem żywiołu polskiego, rząd pruski wydał surowy zakaz sprowadzania polskiego robotnika z poza granic Rzeszy i z tejże przyczyny wydalił z kraju swego 40 000 polaków.

Zależność jednak rolnictwa niemieckiego od polskich robotników była tak wielka, iż pod wpływem presyi ze strony rolników niemieckich w r. 1890 rząd pruski zakaz ów zmuszony był znieść i otworzył granicę dla polaków, przynależnych do państw obcych. Wnet po zniesieniu owego zakazu kraje niemieckie poczęły sprowadzać naszych wychodźców. W r. 1891 liczba ich jedynie w 4 prowincyach pruskich wynosiła 33.000 osób, w 10 lat później podniosła się do 200.000, a przed wybuchem wojny niezawodnie przekroczyła 350 000.

Emigracyę sezonową z Królestwa Polskiego i Galicyi w latach 1910—13 ilustruje tabelka następująca:

	1910/11	1911/12	1912/13
Polacy z Król. Polskiego	253.146	281.813	285.829
Polacy z Galicyi . .	77.567	75.851	75.079
Razem . . .	330.710	357.664	360.908
Z tego w przemyśle.	31.754	32.026	42.151

*) Data ta zbiega się z utworzeniem Komisyi Kolonizacyjnej dla wykupywania majątków polskich i z zaostrzeniem polityki antypolskiej.

Dane te, zaczerpnięte ze Statystyki Centrali robotniczej w Berlinie, nie są całkiem dokładne, gdyż nie obejmują tych licznych wychodźców, którzy mimo wszelkich trudności przedostają się do Niemiec bez legitymacyi lub w drodze powrotnej z Francyi, Danii i Szwecyi do kraju zatrzymują się w granicach Rzeszy **). Jak dalece liczby te odbiegają od istotnego stanu rzeczy, świadczy zestawienie ich z danemi Rocznika statystycznego z roku 1915 (str. 51), który liczbę wychodźców z Królestwa do Prus w r. 1912 określa na *322.350 osób* ***). Tabelka powyższa posiada jednak dla nas to znaczenie, iż pozwala nam wysnuć wniosek, że kiedy wychodźtwo polskie z Galicyi, począwszy od r. 1911 liczebnie się zmniejsza, wychodźtwo z Królestwa wykazuje stały przyrost. Po za tem na zasadzie jej możemy stwierdzić, że wychodźcy nasi z Królestwa i Galicyi głównie otrzymują zajęcie w rolnictwie i tylko w nieznacznej części zatrudnieni są w fabrykach i przedsiębiorstwach przemysłowych. „Jest to dowodem — zauważył ks. dr. Mytkowicz w wydanej niedawno cennej pracy p. t. Powstanie i rozwój emigracyi sezonowej (Kraków 1917. Nakł. Instytutu ekonom. str. 137) — iż polski wychodźca zagraniczny może znaleźć zatrudnienie w Niemczech tylko przeważnie w tych gałęziach produkcyi, które krajowy robotnik niemiecki wskutek gorszych warunków pracy chętnie opuszcza i pracować w nich nie chce, szukając wyższych zarobków i łatwiejszej pracy w przedsiębiorstwach przemysłowych i handlowych“. Ta zależność rolnictwa niemieckiego od pracy naszych wychodźców dała powód prof. Seringowi do wypowiedzenia charakterystycznego zdania, że gdyby z jakiejkolwiek przyczyny nie pozwolono robotnikom polskim emigrować czasowo do Prus, całoroczne żniwo tego kraju mogłoby uledz zniszczeniu.

Leon Pączewski.

D. c. n.

**) Prof. Dr. Marya Balsigerowa: Polskie wychodźtwo sezonowe do Niemiec (Środkowoeuropejski związek gospodarczy i Polska. Kraków 1916. Nakład N. K. N., str. 92).

***) W tej liczbie 174.569 mężczyzn i 147.781 kobiet. Wogóle należy stwierdzić, iż udział kobiet w emigracyi sezonowej jest bardzo znaczny. W r. 1912 na 360.142 wychodźców z Królestwa udział kobiet wyrażał się liczbą 162.405, czyli nie wiele był mniejszy od udziału mężczyzn. (Rocznik statyst. na r. 1915, str. 67).

WSPOMNIENIE.

Wielką, niezastąpioną stratę poniosły biedne dzieci Powiśla. W d. 17 grudnia r. z. zmarła ś. p. Aniela z Herbaczewskich Konopczyńska, kierowniczka i niestrudzona opiekunka szkoły dla dzieci Powiśla, ufundowanej przez dyrektora Banku Handlowego, Wojciecha Sawickiego a przygarniającej z górą dzieci 600.

Ś. p. Aniela Konopczyńska działalność swą na polu umiłowanej przez siebie pracy niesienia pomocy biednym dzieciom zaczęła przed kilkunastu laty, zajmując się gorliwie opieką nad dziećmi więźniów. Pracę swą dzieliła wówczas z nieodżałowanej pamięci redaktorem „Kuryera Polskiego“ ś. p. Ludwikiem Straszewiczem i z gorliwą także w pracy owej panią Izabellą Krzywoszewską. Kiedy po kilku latach ś. p. Aniela placówkę tamtą opuściła, stworzyła inną, która na zawsze pomnikiem jej pracy pozostanie.

Pamiętamy jeszcze uroczystość zamknięcia roku szkolnego w roku zeszłym, w czerwcu. Stosunek serdeczny, jaki łączył całą gromadę dzieci, od najmłodszego do najstarszego, z kierowniczką zakładu, był wzruszający,—stosunek ten opromieniał jakąś dziwną pogodą całą gromadę, oczy dzieciaków mówiły wymownie jak im dobrze w tym wygodnym, szkolnym gmachu, przy wybornie zorganizowanych pomocach naukowych, pod opieką najlepszej „pani“.



Ś p. Aniela Konopczyńska.

Pamiętam, jak w owym dniu uroczystości szkolnej — po odśpiewaniu przez dzieci chóralnych śpiewów pod kierunkiem dyrektora, Stanisława Kazury — a wiadomo czem jest „chór dzieci Powiśla“ — najstarsze dziewczynki, opuszczające już zakład dla pracy zarobkowej, z serdeczną wdzięcznością składały podziękę umiłowanej opiekunce, darząc ją przytem wonnem kwieciem—i jak wtedy ś. p. Aniela Konopczyńska, jakby przeczuciem przejęta, żegnała dziewczynki tak poruszona do głębi, że łzami serdecznemi oblewała ich pochylone do swych kolan główki.

Nawet przez czas wakacyjny nie przestawała troszczyć się o swoich wychowanków, wybierała kolejno po kilkoro z najbiedniejszych i na odżywienie zawoziła do swojej willi w Konstancinie.

Niejednokrotnie opisywaliśmy w piśmie naszem dobroczynny zakład, który jest pewnie najbardziej wzorową u nas w tym zakresie placówką kulturalną, placówką doniosłości wielkiej a ogarniającą z miłością mały światek na Powiślu wyrosły, dziś powiemy tylko, że pamięć o ś. p. Anieli Konopczyńskiej żyć będzie zawsze w szkole dla dzieci Powiśla, bo zasiała ją ona czynem swoim i wielkiem sercem.

R.

ZOFJA R. NAŁKOWSKA.

Sielanka.

(CIĄG DALSZY).

V.

Tymczasem chudy Trezor wyrósł na psa złego, jak szatan. Kot był wciąż tej samej wielkości i pałędał się tu i owdzie, pomiaukując. Kurczęta urosły i rozmnożyły się bardzo. Ciągle jakaś nowa kura chciała siedzieć, ale pani Dziobakowa miała już tego dosyć, wolała, żeby się niosły. Więc taką kurę zawsze łapała i wsadzała na chwilę do wiadra z wodą. Był przytem straszny wrzask i pierze leciało, jakby się rozpruła wsypka na poduszce. Ale zato potem już taka kura wcale nie chciała siedzieć.

Z tych zwierząt jedna tylko świnia naprawdę utyła i właśnie przydała się, bo poszła na sprzedaż na pogrzeb. „Jeszcze jeden pogrzeb, powiedziała pani Dziobakowa, ale to już ostatni".

Tymczasem wcale nie był ostatni.

Jakoś to było pod jesień, kiedy gruchnęła wiadomość, że pan Dziobak rzuca posadę i zamieszkuje przy żonie. Doszedł do wniosku, że miejsce w fabryce źle oddziaływa na jego zdrowie i postanowił przenieść się na wieś.

Już jak przyjechał, nie wiele co mógł się ruszać i pani Dziobakowa nieraz się musiała nairytować, zanim się jej udało zapędzić go do jakiej roboty. Puchł tylko wciąż, ale w sobie nic go nie bolało. Puchł jednak bardzo i jeszcze przy pierwszych śniegach musiał chodzić boso, bo żadnego buta na nogę nie mógł wciągnąć. Jego dawny, niefrasobliwy humor wracał jednak czasami — i nie raz i nie dwa razy przyszło nam jeszcze wysłuchać anegdoty o przezabawnym żydzie, który, rozmawiając z dziedzicem, jednocześnie drapał się plecami o futrynę. Oczy Dziobaka były zawsze wypłowiałe, chociaż już od dość dawna przestały patrzeć w ogień, były prawie zupełnie białe. I kiedy anegdota była już skończona, zawsze ciurkiem leciały z nich łzy.

Ponieważ wyleciał boso na mróz, więc się przeziębił i spuchł jeszcze więcej. Wreszcie był już tak spuchnięty, że nie mógł wcale wstać z łóżka — tego samego, w którem umarł jego syn. Leżał tak może z miesiąc, może i więcej, a pani Dziobakowa poprostu obrobić się nie mogła, tyle jej spadło na głowę. Kopała sama wszystkie kartofle, które sama wszystkie sadziła na wiosnę. Okopywała drzewa, grabiła kolki, zbierała, a nawet łamała i rąbała gałęzie na zimę,— nie licząc wcale roboty w domu.

Jakoś to było przede Święty, jak Dziobak umarł. Całe szczęście, że jeszcze zdążył zrobić testament. Od samego rana panią Dziobakową coś tknęło, że to dziś. Dosyć się już w życiu swoim śmierci napatrzyła. — Sprowadziła zaraz dwuch poważnych sąsiadów. Jeden spisał na dużym arkuszu papieru ostatnią wolę umierającego. Po nieboszczce córce chowało się gdzieś na świecie Dziobakom dwoje wnucząt. Ale że zięć się powtóre ożenił, był bogaty i tylko mu chyba ptasiego mleka nie dostawało, więc się pani Dziobakowa bała, że niech tylko mąż umrze, to zaraz wszystko rozdrapią.

Pan Dziobak się trochę opierał, że to niema pośpiechu, że można jeszcze jutro przy sobocie, że naprzód wolałby księdza, — ale go żona i sąsiedzi jakoś tam przekonali. Płakał, jak małe dziecko, ale przecie podpisał.

Później, gdy się wyspowiadał, zaraz mu ulżyło. Leżał sobie spokojnie, z zamkniętemi oczami i nic nie mówił. A na wieczór przed tą sobotą,—o jakby dziś,— zaczęło się konanie. Pani Dziobakowa opowiadała nam szczegóły i przebieg tej smutnej sceny. Było to dość podobnie, jak z synem.

Tak tedy był jeszcze jeden pogrzeb. Ale pani Dziobakowa nie miała co sprzedać, aby męża pochować porządnie. Nowa świnia była jeszcze mała. To też pogrzeb odbył się bardzo skromnie i po cichu.

VI.

Teraz pani Dziobakowa została w swoim domku zupełnie sama. Ale nie odczuwała swego osamotnienia tak znowu bardzo, bo właściwie przecież oddawna przywykła do niego. Co najwyżej chyba w niedzielę mogło jej być trochę markotno, nie okazywała tego jednak i nigdy o tem nie mówiła.

I dawniej zwykle pani Dziobakowa przez wzgląd na drogą naftę wcześnie gasiła światło. Zimą zwykle już o ósmej kładła się spać. Tej zimy zaś światło w jej małem okienku gasło często już o szóstej. I pośród śniegiem nakrytego lasu, sam śniegiem nakryty, w białe krzaki wtulony domek Dziobakowej, wcale od nas zgóry nie był widoczny.

Z nastaniem wiosny zaczęła się zwykła robota. Pani Dziobakowa od świtu była w ogródku. Kopała, gnoiła, sadziła. W niedzielę popołudniu siadywała spokojnie na werendzie i samotnie poglądała na rezultat pracy tygodnia. Ogród jej kipiał kwiatami. W wilgotnem bagienku, po wykarczowaniu sosen, bez, jaśmin, akacye, jarzębiny rosły bujnie, krzewiły się szeroko i bez pamięci. Na klombach wypukłych i podłużnych, odarniowanych wokoło, jak groby, kwitły obficie nasturcye, lwie pyszczki, królewskie korony, floksy, aksamitki, gwoździki i astry, pośrodku wznosiły się wielkie, czerwone georginie. Aromat tych kwiatów czuć było zdaleka w lesie i na drodze. Trezor wył, nigdy nie spuszczany z łańcucha, kot snuł się smętnie—czarny, powiewny i fantasmagoryczny. Tego roku pani Dziobakowa wielu kurom pozwoliła siedzieć—i z tego wynikło nieprzeliczone mnóstwo małych kurczaków, piszczących i po dawnemu dręczących swoje matki, uwiązane za nogę do pni sosnowych. Gospodarstwo kwitło, nie czując braku ręki pańskiej. Bo pani Dziobakowa wszystkiemu dała rady i żadnej roboty się nie bała.

Te zalety nie uszły uwagi okolicy. Bo można sobie mówić, co kto chce, ale prawdziwa zasługa zawsze znajdzie u ludzi uznanie. To też pani Dziobakowa, pomimo swych lat pięćdziesięciu ukończonych, obudziła zamiary poważne w niejednym epuzerze.

Zrazu projekty takie odtrącała ze wstydliwą niechęcią, ze słuszną indygnacyą osoby, znającej sobie cenę. Nikt nie powinien był sobie wyobrażać, że pani Dziobakowa jest byle kto i pójdzie za pierwszego lepszego.

Mówiono o paru nieudanych zabiegach, mówiono i mówić przestano. Jakoś już o tem wszystkiem przycichło, kiedy nagle gruchnęła wiadomość, że pani Dziobakowa dostaje męża aż z za Warszawy. Nikomu nie było wiadomo, jak się nazywa. Mówili tylko, że jest wdowiec, ale bezdzietny, że ma krowę i kawałek gruntu i że jest cieślą.

Sensacya była wielka. Co się kto z kim spotkał, to tylko o tem małżeństwie mówili.

Jednego wieczoru jechaliśmy z pociągu, który przychodził po dziesiątej. Las był cichy, jesienny, omglony, niebo bez chmur widzialnych i bez gwiazd, wysłane mgłą. Miękie błoto lgnęło do kół, przelewało się, chlupało cicho w ciemnościach. Byłyśmy zmęczone i senne. Nagle uderzyło nas wszystkich coś nieoczekiwanego.

— Nie, doprawdy! Co to?

— Rzeczywiście, patrzcie no tylko: świeci się u Dziobakowej.

— Niemożliwe. Przecież to blizko jedenasta.

Le vrai peut quelquefois n'être pas vraisemblable. Pani Dziobakowa, zazwyczaj śpiąca już o siódmej, czuwała istotnie. Co się mogło zrobić, nikt nie rozumiał.

Nagle błysnęła mi myśl. Boże, jak się to czasem o czem zapomni! Przecież to jutro ślub pani Dziobakowej. A dziś ma przyjechać nowy jej mąż z rzeczami, z narzędziami i warsztatem, podobno nawet z krową.

(DOK. NAST.)

Wyznanie.

Kocham ów cichy smutek, co się sączy
Z ran serca mego powoli, powoli..
Kocham liljowe zmierzchy melancholii
I nić bolesnych wspomnień, która łączy

Umarłe dawno dni mojej niedoli
Z niedolą jutra mego — nakształt pnączy.
Kocham cierń każdy, co mi serce jątrzy,
Kocham dlatego, poprostu, że boli.

Kocham nadzieje — które los rozpędzi,
Kocham marzenia — których nie oszczędzi,
Kocham porywy — które z czasem zgłuchną

I ideały, co świecą, jak próchno...
Luty los kocham, co ma twarde pięście,
Bo mi do szczęścia potrzebne nieszczęście!

Stanisław Czosnowski.

Z. MORAWSKA.

A drzewa szumiały...

Obrazek z r. 1863.

(CIĄG DALSZY).

— Stiepan Stiepanowicz, mamy wińco, horoszoje wińco, — ostań, mówił kapitan, przytrzymując eleganckiego porucznika.

Ten wszakże, jak poprzednio *Lubeńka*, usunął się zlekka i zamieniwszy z nią spojrzenie, rzekł z uśmiechem:

— Da, da, ja siejczas...

I wymknął się za kapitanową, która nie zdejmując futra, skierowała się ku drzwiom.

Przybyli ulwolnieni od niechętnego przyjęcia kapitanowej, zwrócili zaraz spojrzenia na pękaty antałek, poglądający na nich zachęcająco z wysokości stołu, na którym go umieszczono.

Zaczęła się teraz *zabawa*.

Nie trzeba było do niej nikogo zachęcać!

Z początku opowiadano sobie wesołe dykteryjki, — potem śpiewano, — kapitan chciał tańcować, ale co wysunął nogę do *prisiudów* to się zatoczył, wreszcie runął na ziemię, przewróciwszy na siebie krzesło.

Inni chcieli go podnieść, — nieszło im jakoś,—dość, że po niejakimś czasie wszyscy znaleźli się pod stołem.

Deńszczyk słysząc rumor, drzwi uchylił, a ujrzawszy *prewoshoditielstwo* nieprzytomne, zabrał resztę wina z antałkiem.

Dość, że gdy kapitanowa odprowadzona przez eleganckiego porucznika wróciła późnym wieczorem, zastała drzwi nie zamknięte a deńszczyka opartego na stole śpiącego snem głębokim. Gdy zaś otworzyła drzwi do stołowego pokoju, przez który chciała się dostać do sypialni, uderzyła ją woń nader niemiła, a gości i małżonka ujrzała chrapiących na podłodze.

Przy dogasających świecach chciała przejść do sypialni, musiała jednak podnieść wysoko suknię rozpiętą na szerokiej krynolinie i wdepnęła w jakąś kałużę.

— Świniec! syknęła przez zęby i poszła do swego pokoju.

IV.

Najwidoczniej tak już było sądzono, że komendant Ilia Worow, spełniający tak sumiennie swoje obowiązki, nie będzie miał ani chwili wypoczynku.

Zaledwie się bowiem położył po szóstej czy siódmej nocy tropienia popisowych, zapukano do drzwi.

— Czto eto?—zawołał gniewnie.

— Telegrama!—odpowiedział deńszczyk.

— Dawaj!—wrzasnął Worow.

— Roznosiciel chce sam oddać! — odrzekł deńszczyk.

Zjawił się roznosiciel i oddawszy telegram stanął wyprostowany.

Komendant rozwinął papier i przy wstającym leniwie dniu czytał:

„Otoczyć lasy, wyłowić buntowszczyków, zakuć w kajdany, odesłać do gubernii!“

— Czto, czto?... pytał sam siebie niedowierzająco.

— Wasze wysokobłagorodie, mam jeszcze telegram do pułkownika, ale go nie mogę znaleźć... ozwał się roznosiciel.

— Poszoł won! — wrzasnął komendant. Roznosiciel umknął, jakby go nie było. Komendant, nie dowierzając własnym oczom, czytał telegram powtórnie.

Nagle uderzył się w czoło i zawołał:

— Tak, tak, teraz wiem, dlaczego tak trudno z *branką*, te psy, buntują się, polecieli do lasu... nie chciałem wierzyć, a to widać prawda,—prawda...

— Nawet i żydzi... ci najwięcej przynosili... myślał sobie dalej,—czyżby i oni?— dodał, ubierając się pospiesznie.

— Będzie im wszystkim ciepło, — zduszę ten bunt... a zato,—oho, zato Ilia otrzyma order, odznaczenie!... myślał uśmiechając się błogo.

— Sam jednak nie dam rady, trzeba wezwać całe wojsko,—kozaków,—ale zawsze ja pierwszy...

I przy tych słowach wybiegł spiesznie, kierując się wprost do kapitana Biescowa.

Co zastał u niego, niepotrzebujemy powtarzać.

Splunął więc na samym wstępie i syknął:

— Świnie, pijanice!

Niemniej budził ich pośpiesznie.

Z trudem mu się udało wytłomaczyć, o co rzecz idzie.

Biescow, jakoś wreszcie zrozumiał, począł kląć, wrzeszczyć i w rozhełstanym ubraniu, zarzuciwszy jakąś derkę zamiast płaszcza, pobiegł do koszar.

— Na koń! na koń! wołał ochrypłym, gwałtownym głosem.

Aż nagle wrzasnął:

— Jakto, dopiero wstali! nie słyszeliście pobudki? gdzie warta!

Pomiarkował się wszakże i patrząc złowrogo krwią zaszłemi oczami, wołał:

— Pod studnię, wodę lać na łeb!

I oto cała sotnia rozodzianych kozaków znalazła się przy studni, jeden drugiemu lał wiadrem wodę na głowę. Była to kąpiel niezwykła, ale było zarazem i niezwykłe widowisko.

Kapitan obiegał bez wytchnienia cały podwórzec koszarowy, przy czem derka zsunęła mu się z ramion i wlokła po rozmiękłem błocie. Wrzeszczał też wciąż i zaciskał pięści, chcąc wywrzeć złość na wartowniku.

Ten leżał unurzany w błocie.

Kopnął go więc dodając: „Skatina“ i wlokąc dalej za sobą derkę, wpadł do stajen.

Nowy zawód.

Ani jednego konia!

Zaklął jeszcze ogniściej, zaprzysiągł, że kozakom w łby postrzela, a mieszkańców co do nogi powiesi,—i wracał do domu, wlokąc za sobą coraz cięższą od błota derkę.

— Powywieszam, co do nogi, powywieszam! wołał coraz bardziej ochrypłym głosem.

— Powywieszam! zawołał, otwierając z trzaskiem drzwi sypialni.

— Co ty wyrabiasz! spotkał go gniewny głos żony. — Spiłeś się jak nieboskie stworzenie i mnie nie dasz spać spokojnie! wołała dalej.

Głos to musiał być potężny, bo kapitan przycichł na chwilę. Zaraz wszakże nowem przekleństwem wybuchnął.

— Cicho, ty pijanico! odkrzyknęła żona.

I rzuciła weń stojącem przy łóżku krzesłem.

Kapitan nie był jej dłużny. Zbliżył się chciał ją porwać za włosy, ale ta stanęła w obronnej pozycyi, wrzeszcząc na całe gardło:

— Sumaszedszyi, sumaszedszyi!

Rzucała też wszystkiem, co jej podpadło pod rękę. Wywiązała się więc gorąca walka, w której padły wszystkie sprzęty, będące w sypialni.

Wreszcie kapitanowa poświęciła własną krynolinę, która tak szczęśliwie upadła, że nakryła głowę zacnego małżonka.

Ten skulił się i zaplątał w liczne tasiemki tak, iż nie mógł sobie dać rady.

Nikt nie wchodził na pomoc.

Deńszczyk słyszał wprawdzie wołanie, ale i on nie mógł również przyjść do zupełnej przytomności.

Co postąpił parę kroków, upadał, potrącając rozmaite sprzęty, ozdabiające kuchnię kapitana.

Pani kapitanowa, widząc się w tej chwili bezpieczną, ubierała się szybko, tem więcej, że dzień zaczął się przez szczeliny okiennicy przedzierać.

Jednocześnie kozacy po zimnej kąpieli szukali odzienia. Z trudem udało im się znaleźć wyszarzane kurtki, mocno podarte spodnie i jeszcze mocniej dziurawe buty.

O koniach mowy być nie mogło. Nie zostało po nich nawet ciepłego oddechu. Mieszkańcy zaś miasta w półmroku wstającego dnia pospieszyli na *prymaryę*, po skończeniu której, nader gorąco śpiewali: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny!...“ Że zaś była to sobota, w bóżnicach pełno było modlących się wyznawców Mojżesza, którzy nakrywszy głowy, płaczliwym jak zwykle głosem wzywali opieki Jehowy.

Na rynku więc, jak i w przyległych uliczkach panowała zupełna cisza.

(D. c. n.).

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Iza zaciekawiona, przyglądała się Ninie, która z prawdziwie łobuzerskiem zacięciem, wygwizdywała co raz to nowe melodye, udając to wiwilgę, to znów przepiórkę lub kosa.

— Ależ pani mogłaby doprawdy zastąpić całą leśną kapelę, śmiał się Zygmunt rozbawiony, założyłbym się, że gotowe tu się zlecieć całe gromady ptaków.

Nina kiwnęła komicznie główką.—O tak, zwabiłam raz tu oto na tę gałęź kasztanową wiwilgę, wygwizdując co sił, a potem uśmiałam się, słysząc, jak panna Berta zapewniała Izę, że deszcz niezawodny, bo wiwilgi przeraźliwie zawodzą.

Nagle w dali, między krzewami błysnęły dwa światełka i zgasły.

— Panowie zbliżają się do nas zwabieni wesołością,—zauważyła p. Iza, i rze-

czywiście nadchodzili Jerzy i Adolf, rzucając niedopalone cygara. Zdawali się być w najlepszej zgodzie, i śmieli się opowiadając sobie coś półgłosem.

Młody Zagórski bez ceremonii usiadł na stopniu tuż obok stóp Niny. Pani Iza z niepokojem śledziła wyraz twarzy przyjaciółki, obawiając się, że Nina wstanie i odejdzie, ale omyliła się. Nina rozbawiona śmiała się i żartowała ze wszystkimi, nie wyłączając Jerzego, który zachwycony, coraz pewniej patrzył na wesołą dziewczynę.

Malarz pochylił się do pani Izy.

— Cóż kuzynko, gniewasz się jeszcze? Widzisz nie próżnowałem, starałem się wybadać Jerzego, i sądzę, że on jest na seryo zakochany. Tak, tak, szeptał, na każdego widocznie taka chwila przychodzi, tylko, o ile mi się zdaje Jerzy nie myśli o ołtarzu, flirt mu wystarcza.

O małżeństwie zwykł mówić: „nie głupim zdrową głowę kłaść pod Ewangelię".

— Mówiłem ci, to bałamut, a kobiety go popsuły. Ach! te puchy marne, takie to nikłe, niby delikatne a jakie przebiegłe. No, nie gniewaj się, zaraz skończę. Otóż to całe szczęście, że Nina nie ma serca, nie przecz, wy wszystkie nie macie serca, przynajmniej, gdy kto o nie prosi. Zostaw to czasowi, może on oboje zmieni, i wtedy będziesz mogła tryumfować.

Zygmunt wstał z miejsca.

— Cóż to znaczy moi drodzy? Ci szepcą na jednej stronie, ci na drugiej, a ja zostałem na koszu, nie lubię tego, chodźcie chłopcy, przejdziemy się trochę.

Gdy trzej mężczyźni zniknęli w cieniach parku, Nina przysunęła się do przyjaciółki.

— Iziu, czy gniewasz się na mnie, widzisz dziś wyjątkowo byłam wzburzona, miałam trochę przykrości, a potem jeszcze mówiłaś mi o tym panu Jerzym, i już nie mogłam zapanować nad sobą. Ale teraz widziałaś, poprawiłam się, nie uciekając od jego towarzystwa.

Iza objęła dziewczę pieszczotliwym ruchem. — Cóż to za przykrość miałaś, dziecino?

Nina zawahała się chwilkę, a po chwili wyjąkała.—Miałam list od wuja.

— To ten z żałobną obwódką? ale powiedz, co się stało, myślałam, że od tego czasu coście razem...

— Ach, ty dużo rzeczy nie wiesz, — przerwała Nina — i właśnie wszystko muszę ci opowiedzieć, bo jesteś dla mnie tak dobra, i nie chcę mieć przed tobą tajemnic. Wiesz o tem, że wkrótce po śmierci ojca, może w rok odwiedziłam Błotniki. Ale nie myśl, że chciałam się nanowo wkraść w łaski wuja, myślałam tylko, że wuj zmieni się dla mamy, odkąd już ojciec mój przestał być przeszkodą między niemi. A mama tak potrzebowała wtedy dobrego powietrza, w oczach mi nikła, smutek i praca pochłaniały ją. Jak rok długi wuj nie pisał ani nie przyjeżdżał, a ja choć widziałam jak mama cierpi nic jej pomódz nie mogłam, gdyż od czasu mego powrotu do Paryża, straciłam u wuja łaski. Jednego dnia, gdy późno wróciłam z korepetycyi, zastałam mamę zemdloną. Zawołałam doktora, przerwałam nauki, doganiając później nocami stratę czasu, a ona wciąż leżała nieprzytomna. Lekarze orzekli, że to tyfus. Po ośmiu tygodniach dopiero zaczęła mama wstawać, a drugie osiem minęło zanim osłabiona i niezdolna do pracy, przyszła trochę do sił. Było to w marcu—miałam już od miesiąca siedemnaście lat, wyrosłam ogromnie, i byłam bardzo mizerna. Anemia poprostu pożerała mnie. Cóż było robić? a wyście wtedy zimę spędzali w Kairze, pamiętam długie listy jakie pisywałaś do mamy; ona nie chciała donieść ci o wszystkiem, bo znając cię obawiała się, byś wracając rychlej nie zaszkodziła sobie na zdrowiu, które wtedy było bardzo delikatne.

— Ach,—szepnęła pani Iza—jakże można było ukrywać to przedemną, czemuś ty mi wtedy nie doniosła prawdy?... Dora później wspominała o swej chorobie, ale tak jakgdyby to było drobnostką, dlaczego nie miałyście do mnie zaufania?

Nina pochyliła głowę.

— Nie wiesz, Izo, jak to przykro nie módz samemu sobie zaradzić, a potem nie znałam cię jeszcze tak dobrze. Zaledwie parę razy widziałam cię u mamy, przedtem będąc u wuja, a później, ucząc się na pensyi. Wtedy po głębokim namyśle, gdy się już środki wyczerpały zupełnie, gdy nawet w sekrecie przed mamą sprzedałam całą moją skromną biżuterye, postanowiłam wyjechać do wuja i przedstawiwszy mu wszystko, prosić by z mamą się pogodził i zabrał ją do Błotnik.

— I pojechałaś tak sama, dziecko prawie, w tak daleką podróż? Nie bałaś się?

Nina uśmiechnęła się smutnie.

— Nadzieja mnie ożywiała, a przytem nie byłam wychowana przez legion bon i piastunek, od dziecka dawałam sobie sama radę, więc też choć z niepewnością w sercu, ale udałam się w podróż. Wuj ogromnie się ucieszył na mój widok, ściskał ze łzami w oczach, nazywał jak dawniej swym kozaczkiem, ale o powrocie mojim do mamy, lub przyjeździe jej ani słuchać nie chciał. Ile razy wspominałam o niej zmieniał temat rozmowy, zagadywał o czem innem, kazał wybierać sobie wierzchówkę, jednem słowem robił wszystko, bym zapomniała o powrocie. Nie byłam jeszcze tak energiczna i śmiała jak dziś, myślałam sobie jeżeli nie od razu to może powoli wzruszę jego serce. A wuj coraz więcej i cierpliwiej słuchał gdym mu opowiadała o naszych kłopotach i, nawet kiedyś w moim imieniu posłał mamie większą sumę. Co więcej napisał do niej długi list z prośbą, by przyjechała na dłużej do Błotnik. Nie wiedziałam wtedy, że żądał od mamy by ze mną na zawsze zamieszkała u niego, obiecując zrobić mnie swą jedyną spadkobierczynią, jeżeli jego woli posłucham. Ja naturalnie nie przeczuwałam co się dzieje, i ucieszona bliskiem ujrzeniem mamy, odnajdywałam dziecinne wspomnienia, objeżdżając konno łąki i pola, zapuszczając się z łódką daleko na Wartę, lub błądząc po lesie.

Nina przerwała swą opowieść, patrząc szklanemi oczami przed siebie w dal.

Może w pamięci jej stanęły jak żywe, rodzinne strony a może to, co miała wyznać przyjaciółce, nie chciało przyjść jej na usta. Chłód wieczorny przenikał Ninę, ubraną w lekką batystową sukienkę, ale ona nie czuła tego, policzki jej pałały, a usta drżały lekko, gdy po chwili zaczęła:

— Nie jest mi tak łatwo, jak ci się zdaje opowiedzieć ci resztę, gdyż to co teraz usłyszysz przedstawi mnie w zupełnie innem świetle. A muszę raz z tem skończyć choćby dlatego, byś nie pragnęła mnie widzieć zakochaną, bo stanowczo nie chcę wyjść za mąż, a zrozumiesz sama najlepiej dlaczego.

Czy wierzysz Izo, że są ludzie stworzeni na to, by zawsze nieszczęśliwie kochali? A los najczęściej dolę tę przeznacza kobietom. Uśmiechasz się zapewne, zdaje ci się, że to dziwnie brzmi w ustach młodej dziewczyny. Lecz czemu nie jestem podobna do tylu innych panien, dla których mąż, dom, swoboda, to cały poemat?... Prawda, że będąc bez posagu nie mogę liczyć się do tak zwanych panien na wydaniu, ale szczerze ci mówię, że to mnie już teraz wcale nie martwi. Raz jeden tylko w życiu, tak raz jeden żałowałam, że nie mam tego złota, które byłoby w mem ręku kluczem do szczęścia. Teraz cieszę się nawet, że pozwala mi to poświęcić życie sztuce i dążyć do — innych ideałów.

Były śliczne, ciepłe dni kwietniowe, nikt nie myślał o pozostawaniu w pokojach, a temwięcej, ja tak uradowana z powrotu na wieś, do moich starych, drogich kątów. Wiosnę czuć było w powietrzu, lekki wiatr rozrzucał mi włosy na skroniach i opalał blade policzki. Wuj był w świetnym humorze, urodzaje zapowiadały się doskonale, a rocznik źrebiąt prze-

znaczony na remonta mógł zadowolnić znawcę. Lada dzień oczekiwałam przyjazdu mamy i doprawdy nigdy nie czułam się tak pełną wdzięczności za życie, które wtedy było dla mnie uroczym snem. Wyciągałam ufnie ramiona do życia nie przypuszczając nawet, że mnie na samym progu tak brutalnie odepchnie.

D. c. n.

Kronika działalności kobiecej.

Ubezpieczenie kobiet w Anglii.

W Anglii projektowane jest rozszerzenie jeszcze podczas wojny ubezpieczeń kobiet i założenie specyalnych Towarzystw ubezp. dla kobiet.

Kobiety w straży ogniowej.

We Wrocławiu przyjęto do tamtejszej straży ogniowej 8 kobiet. Pełnią one lżejsze czynności pomocnicze, a mianowicie obsługują węże gumowe, hydranty, sprzątają i t. p. Umundurowane są podobnie, jak kobiecy personel kolejowy.

Zapisy na cele dobroczynne.

Dowiadujemy się, że zmarła przez kilku dniami ś. p. Walerja z Kamockich Gonzaga-Myszkowska, wdowa po profesorze i b. obywatelu ziemskim, zapisała na różne cele dobroczynne około 100,000 rb., resztę zaś swego majątku podzieliła wśród bliższych krewnych. Majątek zmarłej składa się przeważnie z sum, ulokowanych na hipotekach.

Hojny zapis na Pogotowie.

Zmarła w Warszawie Klotylda Helbingowa, właścicielka domu przy ul. Hożej № 56.

Zmarła zapisała testamentem cały swój majątek na rzecz Pogotowia ratunkowego.

Ponieważ Klotylda Helbingowa niezostawiła bliższej rodziny, pogrzebem więc zajął się zarząd towarzystwa doraźnej pomocy lekarskiej.

Ś. p. Helena Wawrzeniecka.

D. 19-go grudnia r. z. zmarła Helena z Massalskich Wawrzeniecka. Ur. r. 1830 w Krakowie z Izabelli z Wireńskich i Konstantego Massalskiego, pisarza Senatu Rz. Krakowskiej. Była chrzestną córką hr. Stanisława Wodzińskiego, prezesa Rz. Krakowskiej, a wnuczką słynnego krakowskiego lekarza, d-ra Piotra Wireńskiego (1747—1830). Kształciła się w Krakowie. Rysunku uczył ją przyjaciel jej ojca, Wojciech Stattler. W r. poślubiona Józefowi Wawrzenieckiemu, przeniosła się do Warszawy, gdzie przetrwała r. 1863/4 (brata jej, Władysława Massalskiego, czł. org. w Miechowskiem, skazano na wygnanie, brata ciot., Adolfa Hennel'a, współpracownika „Gazety Polskiej", członka rządu Traugutta, zesłano. Poświęciła się wychowaniu synów (Zygmunta, zm. w r. 1904 w Beyreuth, inż. konst. dr. żel. Damaszek-Mekka, oraz Maryana, art.-malarza i antropologa). Zmarła była żywą kroniką minionych czasów. Pamiętała wybitne osobistości: gen. Chłopickiego, Surmackiego, adjutanta Bema, Ant. Grabowskiego, Estrajchera, Franciszka Matejkę (ojca), muzyka Krzyżanowskiego i Mireckiego, poetę Wasilewskiego i in. i chętnie o nich opowiadała. Miłość kraju, wytrwałość, wielka zacność duszy pozostaną zawsze w pamięci tych, którzy ją bliżej znali.

Obowiązkowa wojenna służba pomocnicza kobiet w Anglii.

Jak donosi „Daily Telegraph", rząd angielski zajmuje się obecnie projektem zaprowadzenia obowiązku wojennej służby pomocniczej kobiet.

Rząd angielski powziął ten zamiar głównie z tego powodu, ponieważ dotychczas kobiety wcale nie okazywały gotowości zastąpienia w wojskowych zakładach przemysłowych i w służbie poza frontem mężczyzn, powołanych do szeregów armji stojących w polu.

Miljon kobiet w warsztatach amerykańskich.

Według ścislejszych obliczeń i zestawień statystycznych, wynosi liczba kobiet, pracujących w fabrykach i warsztatabh przemysłowych amerykańskich, wyrabiających materyały wojenne, nie miljon, lecz 1,266,061 kobiet.

Uorderowane telefonistki. Jak donosi „London Gazette", podczas noworocznych odznaczeń bardzo wiele telefonistek otrzymało ordery.

Przyznano im te odznaczenia za to, że urzędniczki te podczas gwałtownych ataków napowietrznych nie opuściły swoich stanowisk.

Inspektorka objazdowa w Holandii.

W Holandyi kobiety pracują już od lat w asekuracyi jako urzędniczki oraz akwizytorki. Z wybitnych pracownic na tem polu należy wymienić pannę Mary Fleischman, która po 30 latach pracy nad organizacyą akwizycyi ubezpieczeń mianowana została inspektorką objazdową, poświęcając się zupełnie temu zawodowi.

Arystokratki angielskie przy pracy.

W żadnym może z krajów europejskich poczucie racyonalnie pojętego patryotyzmu nie jest tak silnie rozwinięte jak w Anglji. Dowodem tego fakt, że cały naród jednozgodnie od początku wojny bierze czynny udział w pracy społecznej i państwowej, a nawet arystokratki angielskie, znane ogólnie ze swej dumy rodowej, wcale nie wstydzą się wykonywania najzwyklejszej pracy ręcznej, wiedząc, że pracują dla dobra narodu.

Kiedy niedawno król angielski, Jerzy, zwiedzał zakłady fabryki broni i aparatów lotniczych firmy braci Gwyne w Chicwick i przechodził przez sale robotników, zwrócił jego uwagę prawdziwy dworski ukłon, oddany mu przez jedną z robotnic. Przystanął i ku wielkiemu zdumieniu rozpoznał w niej znaną sobie dobrze z zabaw i przyjęć dworskich lady Wiktoryę Bantinck, córkę księcia Portland. Księżniczka pracuje już drugi rok w fabryce broni, razem z innemi robotnicami i w tych samych godzinach zajęć, a nawet jada w kantynie fabrycznej na równi z innemi towarzyszkami pracy.

Oprócz niej także inne arystokratki i magnatki angielskie są zatrudnione w tej fabryce, jak naprzykład lady Sybilla Pierpoint, pani Brownlown, dawniej profesorka w Girton College, oraz dwie córki właściciela fabryki.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.**

Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.

NASZA POGAWĘDKA.

Jakież to niewyczerpane trudy i namysły przechodzimy obecnie, gdy mamy sporządzić jakieś ubranie, rozumie się używając doń rzeczy już noszonych i rozmaitych resztek. Czy to chodzi o sukienkę dla dziecka, czy dla dorosłej, czy dla wiekowej osoby, moda wymyśla rozmaite kroje, a tych staramy się podawać jaknajwięcej, aby przyjść z pomocą z konieczności ogólnie oszczędnym paniom domu. Nie mówimy tu o tych, które mimo dzisiejszych, a może właśnie z powodu dzisiejszych wojennych czasów, opływają we wszystko, lecz o tych, które nietylko oszczędzać, ale nawet odmówić sobie wszystkiego muszą, a tych—są krocie. — Co materyały, przybrania i tak zwane „dodatki“ kosztują — o to nawet spytać ośmielić się trudno. Przerabia się bez końca pozostałości, zapasy z dobrych, przedwojennych czasów. Ze zmianą każdego sezonu przeglądamy „gałganki“ w szafach naszych i szufladach, a im dalej przeciągają się ciężkie obecne warunki, im dłużej trwa wojna, tem większe niespodzianki wynajdujemy w naszych wielokrotnie już przeglądanych i odkładanych zapasach. Pochodzi to może stąd, że dobry towar staje się teraz coraz rzadszy a przechowany, odłożony, na razie uznany za niewystarczający lub niezdatny, po pewnym czasie nabiera wartości.

Szczęściem, że moda obecna jest naprawdę dobrą, praktyczną doradczynią. A może zbytek, zdawało się nierozważny, w używaniu takiej przesadnej obfitości materyału, jaki zapanował w ostatnich dwóch latach, miał też dobrą stronę, może ów zbytek ułatwia wielu paniom przetrwanie doby dzisiejszej, bo z jednej spódnicy z roku 1916/17 można z łatwością sporządzić całkowite ubranie.

Wązkość nowych form, akcentujących linię, nieco ku dołowi zwężoną, ku górze stopniowo rozszerzoną, zakończoną dużym kapeluszem, przypomina wykrzyknik, a pod tym znakiem niewieście postacie nierównie wdzięczniej wyglądają, niż pod znakiem „beczki“, jak ostatnio nazwano istotnie do beczek podobne spódnice.

Bardzo ładnie wyglądają spódniczki, których proste linie rozszerzone są po bokach, wsuniętemi w szwy przybraniami (duże kieszenie, draperye, odstające plisy, fałdy i t. p.), spódniczki takie w niczem nie przypominają przykrej pamięci spódnicfuterałów, które oby nigdy już nie szpeciły kobiecej sylwetki.

Mróz jeszcze, szron na drzewach, a dobre gosposie przeglądają zapasy materyałów do prania. Każdy kawałeczek przyda się na pewne, każdy, względnie do swych rozmiarów, użyty będzie już to jako przybranie, już jako materyał na bluzkę, kaftanik, fartuszek, ubranko dla małego dziecka, aby tylko zaoszczędzić każdy skrawek.



Szkic 1 a. Szkic 1b. Szkic 2.

Bardzo ładne bluzki sporządzać można z zestawienia na pozór nawet nieodpowiadających sobie barw i materyałów. Do przodów, na które brakuje trochę materyału, przyszyć szerokie lamówki, tak szerokie, jak tego wymaga konieczność dopełnienia zbyt wązkich przodów. Z materyału użytego na lamówki, powinien być zrobiony kołnierz, dowolnej formy i mankiety, których wysokość zależy też od tego, na jak długie rękawy wystarcza materyału. Bluzka może być niebieska, lamówki ponsowe, — bronzowa, lamówki zielone, bluzka w kropki, lamówki w paski lub w kratkę—słowem tysiące możemy wymyślać zestawień. Jeśli nie wystarcza na lamówki lub na mankiety z jednego kawałka, można je łączyć zapomocą mereszki z kilku kawałków. Mereszka niezmiernie ułatwia sztukowanie, bo stanowi zawsze piękne i wytworne przybranie.

Za granicą, gdzie brak różnych materyałów i trudność w otrzymywaniu ich daje się jeszcze więcej odczuwać niż u nas, otworzono już kilka wystaw odzieży sporządzonej z resztek i z materyałów farbowanych, nicowanych lub zastebnowanych w ten sposób, że dwie warstwy słabego, zniszczonego materyału tworzy jedną.

Wystawiono sukienki dziecinne zrobione z próbek, suknie z portier i koronkowych firanek, bieliznę dla dziecka ze starych serwet, bluzki z parasolek, rozmaite sposoby utrwalania podeszwy, buciki z kawałków dywanika, słowem setki szczegółów garderoby z materyałów nigdy dawniej na ten cel nieużywanych, aby tylko jaknajdalej iść pod hasłem „przetrwania“.

Marianne.



№ 1. **Krótkie okrycie z kołnierzem i mankietami futrzanemi.** (Szkice 1 a i 1 b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 2. **Kostyum spacerowy, przybrany stebnowanemi plisami.** (Szkic 2). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Wzory Ubiorów i Robót do № 6.

№ 1. **Krótkie okrycie z kołnierzem i mankietami futrzanemi.** (Szkice 1 a i 1 b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Paltocik z bronzowego sukna, podszyty lekkiem futerkiem lub wateliną i jedwabną podszewką, przybierają mankiety i kołnierz z imitacyi fok. Środek przodu skrajany razem z baskiną, pokrywającą wszycie kieszeni, zapiętych na guziki. Boki i plecy bluzkowe. Całość wykończona stebnówką. Dół i mankiety wysuwające się z pod futrzanych, przestebnowane kilkakrotnie.

Potrzeba: $2^1/_4$ mtr. materyi podw. szer., $3^1/_4$ mtr. podszewki jedw. pojed. szerok.

№ 2. **Kostyum spacerowy, przybrany stebnowanemi plisami.** (Szkic 2). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Jedynem przybraniem ładnego, spacerowego kostyumu, są plisy z tegoż materyału, wycięte podług formy i zastebnowane dobrze dobranym, grubym jedwabiem. Kołnierz zapięty na guziki, tworzy rodzaj małej, gładkiej pelerynki. Fantazyjnie, zębato, wycięta plisa przytrzymuje paltocik w stanie i łączy się z plisami, okalającemi wycięcie kieszeni. Z przodu plisa przeciągnięta przez klamerkę. Paltocik, wykończony na jedwabnej podszewce, podłożony wateliną lub moltonem, może być doskonałem ubraniem na wiosnę.

Potrzeba: $4^1/_2$ mtr. materyału podw. szer., 4 mtr. podszewki jedw. pojed. szerok.

№ 3. **Sukienka z materyału w kratę z gładkim kaftanikiem.** (Patrz ryc. 4). (Szkic 3). (Krój na tabl. do № 5—6—7, fig. 24—30).

№ 4. **Kostyum z dwojakiego materyału dla dziewczynki od 8—15 lat.** (Patrz ryc. 3). (Szkic 4). Krój na tabl. do № 5—6—7, fig. 24—36.



№ 3. Sukienka z materyału w kratę z gładkim kaftanikiem. (Patrz ryc. 4). (Szkic 3). Krój na tabl. do № 5-6-7. Fig. 24-30.

Materyał w kratę, w zestawieniu z gładkim, w odpowiednim do krat kolorze, bardzo ładną wytwarza całość.

Spódniczka z materyału w kratę, ułożona wokoło w kontrafałdy, przyszyta do krótkiego stanika z podszewki, do którego wszyte są rękawy z materyału w kratę i który pokryty jest rodzajem bluzki, czy staniczka z materyału gładkiego. Kaftanik ten, zapięty na plecach, wykończa wystebnowana pliska przy wycięciu szyi i pasek na wierzch przyczepiony, przewiązany z tyłu.

Paltocik luźny, z gładkiego materyału, z tego samego, co kaftanik, z dużym kołnierzem w kratę, tworzy razem ze spódnicą bardzo ładny kostyum, odpowiedni na wiosnę Szarfa, przeciągnięta przez przecięcia na bokach, związana luźno z przodu. Rękawy zakończone mankietem w kratę. Paltocik na moltonie i pół jedwabnej podszewce.

Potrzeba: $3^1/_2$ mtr. materyału w kratę podw. szerokości, $1^1/_2$ mtr. mater. gładkiego, też podw. szer., $2^1/_2$ mtr. podszewki pojed. szer.,—10 guzików.

№ 5. **Okrycie z pelerynowym kołnierzem, przybrane taśmą, dla młodej panienki.** (Szkice 5a i 5b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Przybranie wygodnego, wiosennego płaszcza stanowią nastebnowane plecionki. Nastebnowane one są na mankietach, wyłogach, na pasku i wokoło dużych, na bokach przyszytych kieszeni. Duży aksamitny lub pluszowy kołnierz, odłożony w kształcie pelerynki, może też zastąpiony być kołnierzem z materyału płaszcza, a wtedy należy go podobnie jak wyłogi wykończyć nastebnowaną plecionką. Płaszczyk zapięty na dwa rzędy szmuklerskich, dobranych kolorem, lub obciągniętych materyałem guzików, — może być wykończony na dowolnie wybranej podszewce, lub nawet o ile z grubszego sporządzony jest materyału, zupełnie bez podszewki.

Potrzeba: $2^1/_2$ mtr. materyału podw. szer.,—$^1/_2$ mtr. aksamitu, 8 guzików.

№ 6. **Sukienka w formie bluzy z dwojakiego materyału dla dziewczynki od 6—12 lat.** (Szkic 6). Krój na tabl. do № 5-6-7, fig. 106-113.

Zestawienie materyału w pasy z materyałem gładkim, ułatwia sporządzenie zręcznej sukienki z dwóch noszonych części ubrania. Bluzka, z krótkiemi, kimonowemi rękawami, wykonana jest z materyału w pasy. Z tegoż materyału doszyty jest do spódniczki szlak w dole takiej wysokości, jaką posiadana ilość materyału gładkiego wymaga. Pod krótkiemi rękawkami kimono, przyszyte są rękawki z materyału gładkiego.

Potrzeba razem gładkiego i materyału w pasy —3 mtr. podw. szer.

№ 7. **Sukienka w formie płaszczyka dla dziewczynki od 3—7 lat** (Szkic 7). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Modne obecnie suknie w kształcie płaszczyków, dają się też zastosować do ubrań dla dzieci. Śliczną taką sukienkę wskazuje rycina nasza. Sukienka otwarta z przodu na kliniasto wszytym hafcie. Jedna strona naszyta guziczkami, bądź obciągniętemi materyałem, bądź rogowemi, czy perłowemi, druga strona opatrzona szeregiem dziurek, zimitowanych wąziutkim rulonikiem z materyału. Górną część stanowi krótkie, małe kimono, umocowane do stanika z podszewki. Połączenie z kolistą spódniczką, przyszytą do staniczka z podszewki, pokrywa pasek z materyału. Futrzany kołnierz, mankiety przy doszytych rękawkach i plisę futrzaną w dole sukienki, odrzucić można i sukienka zamieni się w wiosenną.



№ 5. **Okrycie z pelerynowym kołnierzem, przybrane taśmą, dla młodej panienki.** (Szkice 5a i 5b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 8. **Sukienka w formie bluzy z dwojakiego materyału dla dziewczynki od 5—9 lat.** (Szkic 8). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Na wskazane na rycinie naszej trzy sukienki, dają się spożytkować rozmaite resztki materyałów, lub ze zniszczonych wybrane lepsze części. Każda z tych sukienek może być sporządzona z materyałów wełnianych, z wełnianych w połączeniu z welwetem, z półjedwabnych, bawełnianych i t. p.

№ 8 wskazuje sukienkę, której górna część, t. j. bluzka, łączy się ze spódniczką, skrojoną z rodzajem bawecika, przypiętego guzikami do paska, pokrywającego połączenie spódniczki z bluzką.

№ 9. **Sukienka z dwóch materyałów dla dziewczynki od 6—11 lat.** (Szkic 9). Forma na zam. w admin. Bluszczu.

Spódniczka welwetowa, przyszyta do długiej, luźnej bluzy, spiętej lakierowanym paskiem. Bluzka od połowy i rękawki, dopełniające krótkie kimonowe, naszyte tasiemeczką lub sutaszem, w dobranym do materyału kolorze. Białe mankiety, lub kołnierzyk do prania ożywiają sukienkę.

№ 10. **Sukienka z 2-ch materyałów, przybrana futerkiem, dla dziewczynki od 2—6 lat.** (Szkic 10). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Spódniczka i koszulowe rękawki z welwetu, gładki staniczek, (wykończony na podszewce) z wzorzystego materyału. Wązkie paski futra okalają wycięcie u szyi, mankietki i pokrywają połączenie spódniczki ze staniczkiem. Zamiast futra użyć można pliski z materyału. Sukienkę taką sporządzić też można z barchanu, lub innego bawełnianego materyału do prania.



№ 6. **Sukienka w formie bluzy z dwojakiego materyału, dla dziewczynki od 6—12 lat.** (Szkic 6). Krój na tabl. do № 5—6—7, fig. 106—113.

№ 11. **Praktyczne ubranie z bluzą dla małego chłopca.** (Szkic № 11). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Wyszycie krzyżykowym ściegiem w jasnych barwach ożywia i zdobi zręczne ubranko dla chłopca, składające się z krótkich majteczek i długiej, szerokiej bluzy, nisko spiętej paskiem. Szlaki ręczne, barwnie wyszyte, lub zamiast tych, odpowiednio dobrana taśma, pokrywają zapięcie z boku, małą kieszonkę z lewej strony przodu, mankieciki i stojący kołnierzyk. Majteczki przyszyte do staniczka, zapiętego z tyłu. Na ubranko to użyć można materyału wełnianego, jak: szewiot, sukno, serge i t. p., welwetu lub barchanu.

Potrzeba: $1^1/_2$ mtr. materyału podw. szerok., 10 ctm. materyału pod szlaki 80 ctm. szer.

№ 12. **Sukienka z kaftanikiem z trzech materyałów.** (Szkic 12). Krój na tablicy do № 5-6-7., fig. 94-105.

Bardzo praktyczną sukienkę, zwłaszcza na obecną porę, wykonać można z 3-ch lub z 2-ch materyałów. Spódniczka i kamizelka mogą być z 2-ch różnych materyałów, lub z jednego, kaftanik z innego. Kaftanik z kamizelką, wykończony na podszewce dobrze przypasowanej, spódniczka w odstępach ułożona w grupy fałd, może być wykończona osobno, lub, co znacznie wygodniejsze, też do staniczka przymocowana. Kamizelka, zapięta na drobne guziczki, w stanie przytrzymana paskiem, poniżej otwarta. Kołnierzyk z materyału kamizelki.



№ 7. **Sukienka w formie płaszczyka, dla dziewczynki od 3—7 lat.** (Szkic 7). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 8. **Sukienka w formie bluzy z dwojakiego materyału, dla dziewczynki od 5-9 lat.** (Szkic 8). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 9. **Sukienka z 2 materyał. dla dziewczynki od 6-11** (Szkic 9). Forma na zamówienie administracyi Bluszczu.

№ 13. **Sukienka w formie bluzy, przybrana haftem, dla młodej panienki.** (Szkic 13). Forma na zamów. w adm. Bluszczu.

Śliczną sukienkę szaro-niebieskiego koloru zdobi haft, wykonany jedwabiem, w kolorze ciemno-ponsowym lub złotawym. Deseń haftu dostarczyć możemy na żądanie Szan. Czytelniczek. Bluzka, połączona ze spódnicą, stanowi jedność. Przód i plecy gładkie, boki złożone z 2-ch części, z których niższa zachodzi na górną i tworzy duże, haftem ozdobione kieszenie. Pasek w kształcie szarfy, przewiązany z przodu. Duży kołnierz, tylko z tyłu wyszyty haftem, z jednej strony przymocowany do bluzki, z drugiej, ponieważ suknia zapięta jest z tyłu, przypięty na zatrzaski. Rękawy koszulowe wszyte w proste mankietki.

Potrzeba: 4 mtr. materyału podw. szer.

№ 14-23. **Bielizna dla dziewczynki.** (Krój na tabl. do № 5-6-7, fig. 37-61, oraz formy na zam. w adm. Bluszczu.

№ 24. **Okrągła serweta, zdobna bogatym haftem Richelieu.** (Motyw z róż). Wzór na zam. w adm. Bluszczu.



Szk. 5 a. Szk. 5 b. Szk. 3. Szk. 4. Szk. 13. Szk. 12. Szk. 1



№9. **Sukienka z 2-ch materyał. dla dziewczynki od 6-11 lat.** Szkic 9). Forma a zamówienie w dministracyi Bluszczu.

№ 10. **Sukienka z dwóch materyałów, przybrana futerkiem, dla dziewczynki od 2-6 lat.** (Szkic 10). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Grzyb domowy.

Najniebezpieczniejszym wrogiem wszelakiego materyału drzewnego naszych domów i wogóle budynków jest grzyb, zwany grzybem domowym lub drzewnym, a także grzybem płaczącym. Kto miał raz sposobność widzieć straszne szkody, jakie ten szkodnik wyrządza, ten nie będzie uważał za rzecz zbyteczną poświęcenie słów kilku temu strasznemu wrogowi naszych budowli. Trzeba bowiem wiedzieć, że grzyb domowy napada nietylko na chore i zdrowe drzewo, jak belki, deski, dyle i in., ale potrafi również doskonale rozwijać się na murach naszych mieszkań.



№ 11. **Praktyczne ubranie z bluzą dla małego chłopca.** (Szkic 11b). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Jeśli w budynku jakim pojawi się grzyb, wtedy rozszerza się on bardzo szybko od piwnicy aż do najwyższego piętra. Ssawki jego w rodzaju rurek przenikają przez silne mury, skoro tylko uczują po drugiej stronie środowisko swego życia, zatem materyał drzewny. W wędrówce grzyba domowego drzewo suche nie jest żadną przeszkodą, gdyż potrafi on dzięki swej specyalnej budowie, o systemie cieniutkich rureczek, doprowadzić sobie potrzebną mu do życia wodę z miejsca swej zarodzi, choćby to było w głębokiej piwnicy, lub w dyłach piwnicy — aż do najdalszych rozgałęzień.

W chłodnej porze roku, gdy okna są przeważnie zamknięte, przy wejściu do mieszkania zdradza grzyb swoją obecność silną, uderzającą w nos stęchłą wonią, którą ze siebie wydziela. Skoro coś podobnego uczujemy, powinniśmy mieć się na baczności i brać się odrazu do zaradzenia złemu, bo potem może być zapóźno. Jakkolwiek grzyba nie widzimy, możemy jednak być pewni, że prowadzi on już swoje dzieło zniszczenia, czy to w dylach podłogi, czy w futrynach drzwi, czy gdzieindziej w ukryciu.

Zrazu pokazuje się grzyb na drzewie w formie małych, białych płatków pleśni. To są zarodki grzyba. Z czasem stają się one coraz większe i tworzą po pewnym czasie rodzaj gniazda o srebrzystym odcieniu, z którego rozchodzą się lepkie wilgotne płaty jakby skóry, z wierzchu gładkie o żółto-złotem lub rdzawo-bronzowem zabarwieniu, spodzie aksamitnym liliowego koloru, z grubym białym brzegiem naokoło. Płaty dają się łatwo oderwać od swego łożyska. Dzięki temu grzybowi, drzewo zmienia się w rodzaj próchna o ziemistym wyglądzie. W drzewo, zniszczone przez grzyb, nóż wchodzi jak w masło, a sprzęty domowe poprostu zapadają się w podłogę zgniłą.

Strona zewnętrzna desek czy dylów, zniszczonych przez grzyb, wygląda zdrowo, tylko gdzieniegdzie, o ile drzewo nie pociągnięte lakierem, widoczne są maleńkie czarne punkciki z siwawym nalotem, o ile zaś drzewo było pociągnięte farbą, powstają na niem w tych miejscach wypukłości, jak bańki. Drzewo takie przy uderzeniu czemś twardem, wydaje głuchy dźwięk.

O ile grzyba nie będziemy z początku zaraz niszczyć, to zacznie on posuwać swoje płaty w formie grzebienia, i o ile to będzie w miejscu zetknięcia się desek z murem, nawet w zaprawę z wapna. To są roznosiciele owoców z grzyba, gdyż na nich tworzą się soczyste brodawki wielkości grochu, w których siedzą zarodki grzyba. Przy bujnym wyroście grzyba z brodawek kapie ciecz, zrazu przezroczysta, później mlecznego koloru. Z tego powodu nazywają grzyb domowy także grzybem płaczącym. Do wytworzenia dojrzałych zarodków potrzebuje grzyb światła i powietrza, dlatego też, gdzie tych dwu rzeczy, t. j. światła i powietrza niema, tam zarodki grzyba nie dojrzeją, natomiast płaty grzyba tem bujniej się rozrastają i zajmują coraz to dalszą przestrzeń.



№ 12. **Sukienka z kaftanikiem z trzech materyałów.** (Szkic № 12). Krój na tablicy do № 5—6—7, fig. 94-105.

Jak widzimy tedy, grzyb jest daleko niebezpieczniejszy taki, który siedzi z dala od światła i powietrza, niż ten na murze.

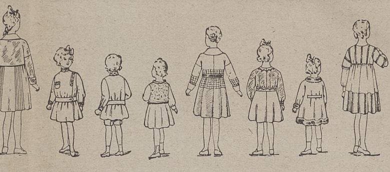
Mimowoli zadajemy sobie pytanie, skąd grzyb się bierze? Otóż przekonano się, że grzyb siedzi w ziemi i to nieraz w bardzo znacznej głębokości, bo siedm metrów sięgającej. W poszukiwaniach trafiono na całe gniazda grzyba w kamieniołomach. Znalezione przy tych próbach egzemplarze grzyba przedstawiają się, jako cienkie nitki z rozgałęzieniami; niekiedy występują, jako białe lub ciemne punkty, dostrzegalne gołem okiem. Przyniesione do suchego i ciepłego mieszkania zamierają, w odpowiedniejszych warunkach utrzymują się, a nawet wyrastają, a z białych punktów rozwija się płatek z zaokrąglonym brzegiem podobnie, jak wiele innych znanych ogólnie pleśni. Rezultaty te są już sprawdzone i pewne. Obecność grzyba i rozwój jego wśród kamieni wapiennych, na znacznej nawet głębokości (do 7 m.), wątpliwości nie ulega. Że grzyb drzewny dostaje się do budowli drewnianych za pośrednictwem kamienia, użytego do budowy, to przemawia za tem fakt obserwowany, że grzyb nie oszczędza i tych budowli drewnianych, gdzie drzewo użyte do budowli było zupełnie suche i gdzie o wniesieniu do niej grzyba z drzewem mowy być nie mogło. Grzyb ten rozsiewa się nietylko w kamieniołomach, ale i w innych warstwach gruntu — skąd przenieść się może na cegłę, kamień, drzewo i t. p. Stąd nauka, że jeśli nie chcemy narazić nowo postawiony budynek na zarażenie się grzybem, to musimy przedewszystkiem miejsce, na którem budynek stawiamy, nietylko dokładnie oczyścić, ale i wierzchnią warstwę ziemi skopać i wywieźć. W dalszym ciągu,



№ 4. **Kostyum z dwojakiego materyału, dla dziewczynki od 9-15 lat.** (Patrz ryc. 3). (Szkic 4). Krój na tablicy do № 5—6—7, fig. 24—36.



№ 13. **Sukienka w formie bluzy, przybrana haftem, dla młodej panienki.** (Szkic 13). Forma na zam. w adm. Bluszczu.



k. 12. Szk. 11b. Szk. 11a. Szk. 10. Szk. 9. Szk. 8. Szk. 7. Szk. 6.

wobec tego, że wiemy już, że grzyb siedzi w kamieniach, musimy nietylko drzewo, ale i kamień użyty do budowli, należycie wysuszyć.

Obserwacya warunków, wpływ mających, na powstanie i szybki rozwój grzyba drzewnego, daje nam w rękę broń skuteczną przeciwko temu groźnemu wrogowi siedzib ludzkich i budowli gospodarskich.

Grzyb rozrasta się najbujniej w miejscach wilgotnych, ciemnych i pozbawionych dopływu powietrza. Drzewo budowlane, zastosowane w częściach budowli narażonych na zetknięcie się z wilgotną ziemią lub murem, a przytem pozbawionych światła i dostępu powietrza, zewnętrznego, prędzej lub później ulegnie grzybowi. Technika budowlana rozporządza wprawdzie środkami, służącemi do wygubienia lub zabezpieczenia drzewa od grzyba, lecz niestety działanie ich nie zawsze jest skutecznem. W handlu środki te są znane pod różnemi nazwami: Carbolineum, Gudronit; ze środków domowych, mniej lub więcej skutecznie działających, przewszystkiem wymienić należy nasz dziegieć. Dobrą również jest mieszanina z nafty i smoły. Nafta służy do rozcieńczenia mazi, przez co wnika ona głębiej w drzewo. Srodek to względnie skuteczny; dalej w ten sam sposób: pokostu z domieszką kalafonii, rozczynu soli kuchennej, siarczanu miedzi i innych. Zaznaczamy jednak, że drzewo musi być przedtem dokładnie wysuszone. Na ogół wziąwszy trudną jest rada w tym wypadku, jeśli część materyału już jest przez grzyb zniszczona. O ile to możliwe, należałoby część drzewa zniszczonego zastąpić drzewem nowem, suchem. Nie wyklucza to jednak bardzo prawdopodobnego zarażenia się nowego materyału zarodkami grzyba, które siedzą gdzieś ukryte w części starej budynku. Dlatego też wypadnie nam przedewszystkiem zapobiegać możliwości zarażenia grzybem i jeśli to wypełnimy sumiennie, wtedy będziemy mieć pełną rękojmię, że budynek będzie stał długie lata zdrowy.

A zatem — na pierwszem miejscu, jak już wyżej wspomnieliśmy, przedewszystkiem dokładne oczyszczenie i wywiezienie warstwy rodzajnej ziemi z tego miejsca, gdzie budynek ma stanąć. W dalszym ciągu baczyć na to, by drzewo, użyte na podwaliny, było zupełnie zdrowe i suche, oczyszczone z kurzu i piasku. Do zasypywania fundamentów nie należy używać ziemi rodzajnej, sprzyjającej rozwojowi roślinności — w celu powyższym użyć najlepiej ostrego suchego piasku, żużli lub suchego gruzu. Mowa tu o wierzchniej warstwie, na której spoczywać mają belki. Belkowanie podłogowe wesprzeć na kilku szeregach słupków murowanych z cegły lub kamienia. Podmurowanie od drzewa przedzielić arkuszami papy smołowej. Między podłogą górną i dolną dać można warstwę suchej gliny. W murze zewnętrznym porobić należy otwory, by ułatwić dostęp powietrza z zewnątrz budynku pod podłogę. Otwory tę rok cały zastawione być mogą siatką drucianą, na zimę zaś wypadnie je szczelnie zamykać lub zamurowywać, by nie dopuścić mroźnego powietrza pod podłogę i nie oziębiać mieszkania.



№ 14—23. **Bielizna dla dziewczynki.** (Krój na tabl. do № 5—6—7 fig. 37—61 — oraz formy na zam. w adm. Bluszczu).

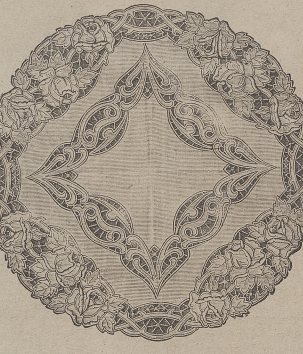
RADY PRAKTYCZNE.

Przechowywanie jabłek w beczkach. Chcąc je w ten sposób przechowywać, trzeba wyświdrować otwory w dnie i na bokach beczułek, które ustawia się na stołach, lub deskach, na stopę wzniesionych nad ziemią. Jeżeli niewiele jabłek ma się przechować przez zimę, najlepiej każdą sztukę zawinąć w papier, bo zabezpiecza je od wpływów atmosferycznych. Można je wtedy układać warstwami w paczkach lub koszach i ustawiać w chłodnych miejscach, gdzie mróz nie dochodzi.

Do czyszczenia jedwabnych sukien z kurzu nie trzeba nigdy używać szczotki, choćby najmiększej, lecz suknię wytrzepać, a potem wycierać miejsca zakurzone kawałkiem welwetu, który zbiera kurz lepiej od szczotki, a nie niszczy materyi.

Robota na drutach, okazuje się korzystnem ćwiczeniem dla osób, których palce sztywne są skutkiem reumatyzmu i artretyzmu, lekarze zalecają ten rodzaj robót osobom skłonnym do kurczów, bo ruch konieczny przy robocie drutowej, pobudza krążenie krwi.

Pranie gorsetów. Należy unikać o ile możności zabrudzenia gorsetów, nosząc na nim staniczek, bo gorset prany zawsze traci formę. Jeżeli jednak potrzeba go uprać po przepoceniu i po



№ 24. **Okrągła serweta zdobna bogatym haftem Richelieu.** (Motyw z róż). Wzór na zam. w adm. Bluszczu.

długiem używaniu, wyjąć fiszbiny, położyć gorset płasko na czystym stole i myć szczoteczką, umaczaną w letniej wodzie z rozgotowanem mydłem. Po dokładnem upraniu, wypłukać w dużej ilości wody, na balji, lub pod wodociągiem, żeby nie zostało ani śladu mydła. Wyciągać potem w ręku wzdłuż, dopóki nie nabierze dobrego kształtu i powiesić w chłodnem miejscu. Gdy trochę przeschnie, wyciągać go w rękach po raz drugi, aż będzie prawie zupełnie suchy.

PRZEPISY KUCHENNE.

Oszczędny piernik bez miodu. 2 funty mąki pszennej, 1 funt cukru, 2 funty marchwi cukrowej (gatunkowej), utartej na tarce, naturalnie, oskrobanej, 1 jajko (nie koniecznie), 2 łyżki strychowane sody jadalnej—wszystko doskonale wymieszać, następnie starannie ręką wyrobić, dodać korzeni, np. cynamonu, anyżku, kminku lub skórek pomarańczowych, mieć formę blaszaną, wysypaną mąką, na niej położyć papier, wysmarowany masłem, lub szmalcem, na którym ułożyć ciasto, wygładzić nożem, umaczanym w wodzie i wstawić w dobrze wygrzany piec i nie ruszając formy, zostawić do zupełnego wyrośnięcia, a gdy piernik nabierze twardniejącej powierzchni, wstawić go na górny przedział pieca, żeby się dopiekł, nim dojdzie zupełnie, posypać piernik kryształem, wedle woli i możności.

Oszczędny, dobry obiad na 6 osób z $1\frac{1}{2}$ funta mięsa. Mięso, $1\frac{1}{2}$ funta, o ile można z części odpowiedniej na rosół, obić, opłukać i wstawić, gotując jak zwykle rosół z dodaniem włoszczyzny, opiekanych plasterków pietruszki i marchwi, pieczonej cebuli i t. d. Gdy już mięso i włoszczyzna ugotowane na miękko, wyjąć je. Rosołu powinno być nieco więcej niż na 6 osób, jeśli jest za mało, po wyjęciu mięsa można dolać gotowanej wody. Rosołu pozostawić garnuszek, obejmujący mniej więcej $1\frac{1}{2}$ szklanki. Na reszcie rosołu ugotować kartofle pokrajane w plasterki, poprzednio sparzone, zaprawić jak zwykle kartoflaną zupę i wkrajać trochę włoszczyzny.

Mięso wyjęte z rosołu pokrajać w zręczne kawałki, osmażyć je i włożyć do sosu zrobionego z zasmażki z masła i mąki, rozrobionej pozostawionym rosołem. Dodać do sosu siekanego koperku, ułożyć w kostkę lub w plasterki pokrajane dwa kwaszone ogórki i do potrawki tej podać pęczak.

Pęczak powinien być dobrze wymyty i na noc namoczony w wodzie (nalać go można gorącą). Na jarzynę najlepiej pęczak gotować w dosyć dużej ilości wody, gdy już miękki — a namoczony pęczak gotuje się prędko — wodę odlać, włożyć kawałek masła lub wlać trochę słoniny i pęczak wyprużyć trochę pod blachą lub na gazowej kuchni pod pokrywą.

Wody, w której gotował się pęczak nie należy wylewać. Można ją doskonale użyć do zaprawy zupy. Woda taka wlana do barszczu czy do innej, zwykle mąką zaprawianej zupy, w zupełności zastępuje mąkę.

ODPOWIEDZI
Z DZIEDZINY LECZNICZEJ KOSMETYKI.

Prenumeratorce „Bluszczu" z Kutna. Cierpienie Sz. Pani jest bardzo obecnie rozpowszechnione, mam kilka osób w kuracyi z podobną jak Pani skórą. Nie wiem, czy przypisać to tylko zimie, gdyż najczęściej w tej porze roku podobne cierpienia zazwyczaj się potęgują, czy też innym czynnikom odtłuszczającym, natury wojennej. W każdym razie z opisu wiem, co Sz. Pani dolega i radziłabym kurację następującą:—Odrzucić na czas dłuższy *wodę zupełnie,* po umyciu wodą twarzy napewno jest gorzej, a natomiast umyć się na noc „Eau Neigeuse" i wysmarować maścią całą twarz. Maść będzie zawierała, oprócz wielu innych składników, salicyl, który znakomicie na takie skóry działa. Rano znów twarz zmyć „Eau Neigeuse" i wysmarować dobrze watą „Mleczkiem lanolinowem" tak, aby w skórę wsiąkło t. j. niewycierać ręcznikiem, tylko położywszy na twarz cienki ręcznik dobrze naciskać rękami, aby w skórę wsiąkało—i zapudrować dobrym, czystym pudrem, bez domieszek. Środki powyższe dostanie Sz. Pani u mnie tylko, gdyż mam swoje na nie paryskie recepty. Może Sz. Pani będzie miała jaką okazyę z Kutna—inaczej przesłać nie mogę, gdyż poczta nie przyjmuje paczek z lekarstwami. Do Galicyi i do Poznania wysyłam różne środki, ale tylko przy pomocy okazyi, sądzę więc, że tembardziej do Kutna taka się znajdzie. Co do pudru musiałabym wiedzieć, czy Pani używa biały, różowy lub Rachel.

Na tle takiej suchej, łuszczącej się skóry powstają podskórne, czerwone plamy i drobne krosty, a te najczęściej swędzą, przy drapaniu zaś zaogniają się więcej. *Radykalnie* wyleczyć daje się taką skórę specyalną kuracyą: środki powyższe znacznie cierpienie łagodzą, ale może się jeszcze ostra faza powtórzyć.

Dr. J. Sadowska.